Dodatek tygodniowy do „Głosu Narodu“,
do Nru 142.

Czterechsetna rocznica urodzin Hozjusza.

Dnia 5-go maja upłynęło 400 lat od urodzenia Hozjusza, jednej z najpotężniejszych i najwpływowszych postaci burzliwego XVI wieku, owego wielkiego kardynała, co wszystkie swe siły poświęcił zachowaniu wiary katolickiej w swoim narodzie i w świecie, a słowem, pismem i czynem wpłynął na duchowy rozwój swej epoki.

Stanisław Hozjusz urodził się 5 maja 1504 roku w Krakowie. Ojciec jego, Ulryk, pochodził z Forzheimu w Szwabji. Sam Hozjusz uważał się jednak za Polaka i za takiego był uważany, o czem świadczy między innemi także jego nagrobek w Rzymie, na którym jest nazwany: „Polonus“.

Lata młodzieńcze Stanisław spędził w Wilnie, gdzie ojciec jego piastował urząd prokuratora. Już w 15-tym roku życia wstąpił na uniwersytet krakowski i z niezwykłym zapałem oddawał się naukom. Wkrótce ogłosił też zbiór poezyj łacińskich, przeważnie naukowej treści. Następnie wydał homilję świętego Chryzostoma w oryginale greckim i dołączył do niej wierne tłómaczenie łacińskie. Niebawem młody uczony znalazł też protektora, który wywarł wpływ poważny na dalsze jego losy. Był nim szlachetny biskup krakowski Piotr Tomicki, który zachęcał Hozjusza, aby dla dopełnienia swych studjów zwiedził uniwersytety włoskie. Że Hozjusz wyzyskał należycie swój pobyt we Włoszech, dowodzi tego odbyta w roku 1534 w Bolonji w obecności późniejszego papieża Grzegorza XIII, a ówczesnego sławnego nauczyciela prawa Hugona Buoncompagoie'go, promocja na doktora praw.

Wyposażony w skarby wiedzy Hozjusz powrócił do ojczyzny, aby wiedzę swą i zdolności oddać na usługi króla. Biskup Tomicki umieścił go w kancelarji królewskiej. Gdy Tomicki umarł w 1535 roku, Hozjusz uczcił jego pamięć piękną bjografją. Odtąd spadały bezustannie zaszczyty na Hozjusza, który z bogatych prebend otrzymywał wielkie dochody. Co prawda, był już wówczas klerykiem, bo wcześnie zdecydował się poświęcić stanowi duchownemu. Święcenia kapłańskie przyjął jednak dopiero w r. 1543. Król Zygmunt I. cenił go wysoko i na łożu swem śmiertelnem polecił synowi swemu i następcy Zygmuntowi Augustowi, aby go wyniósł na pierwsze wakujące biskupstwo.

I Zygmunt August darzył Hozjusza nieograniczonem prawie zaufaniem. Gdy na sejmie zerwała się gwałtowna burza z powodu tajnego ślubu Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną, trzech tylko mężów stanęło po stronie króla i broniło go niezłomnie i wytrwale. Jednym z nich był Hozjusz, który też doczekał się zwycięstwa słusznej sprawy. W r. 1550 Barbara ukoronowaną została na królową. Około tego czasu Zygmunt August powierzył Hozjuszowi nadzwyczaj trudną i ważną misję dyplomatyczną. Wysłał go jako posła na dwory króla niemieckiego Ferdynanda w Pradze i cesarza Karola V w Brukseli, aby doprowadzić do skutku przymierze zaczepno odporne pomiędzy tymi monarchami a Polską. Hozjusz w przeciągu roku wywiązał się z niezwykłą zręcznością z tego trudnego zadania.

Powróciwszy do Polski, otrzymał konsekrację na biskupa i udał się niezwłocznie do djecezji chełmińskiej, którą mu król wbrew jego woli powierzył już w r. 1549. Znów wbrew jego woli musiał w r. 1551 w następstwie nominacji królewskiej i za zezwoleniem papieskiem zamienić tę djecezję na księstwo biskupstwo warmijskie. W działalności swej biskupiej Hozjusz występuje w całej wielkości swego ducha, swej siły, woli i gorliwości w służbie Kościoła. Kościół katolicki w Polsce przechodził w owych czasach ciężkie przesilenie. Nowe herezje wtargnęły do kraju i szybko się rozszerzyły w miastach, wśród szlachty, a nawet wśród duchowieństwa. Episkopat składał się przeważnie z osób niegodnych, wiodących żywot gorszący, a nawet skłaniających się w części do herezji. Noszono się przecież z myślą utworzenia osobnego polskiego kościoła narodowego.

Że nie urzeczywistniły się zagrażające te niebezpieczeństwa, że Polska, że mianowicie Warmja, pozostały wierne Kościołowi, stanowi wyłączną prawie zasługę Hozjusza, Brunsberga, jego biskupia i książęca rezydencja zawdzięcza mu, jak pisze historyk Janssen, sławę, iż zdobyła sobie dla Kościoła katolickiego na północ-wschodzie to samo znaczenie, co Ingolsztad dla południa.

Jako biskup, Hozjusz rozwinął zdumiewającą działalnośc apostolską. Urządzał rozmowy religijne z sekciarzami, rokował z nimi osobiście całymi dniami, mianowicie w Toruniu i Brunsberdze, często z pomyślnym bardzo skutkiem. Oświecał lud w wybornych, jasnych kazaniach o punktach spornych wiary i wydawał te kazania drukiem. Odznaczają się szczególnie zarówno treścią, jak jasnym, zwięzłym, wolnym od wszelkiej namiętności wykładem jego kazania postne, które opracował 1553 r. w obronie nauki katolickiej i ćwiczeń kościelnych. W roku 1565 powołuje Jezuitów do Brunsbergi i powierza im kierunek utworzonych przez siebie w tem mieście zakładów naukowych, które istnieją do dnia dzisiejszego, mianowicie „Lyceum Hosianum“, gimnazjum katolickie i seminarjum duchowne. Przedewszystkiem jednak przyczynił się do wzmocnienia Kościoła w całej Polsce, zachęcając biskupów do energicznej walki z herezją. Dzięki jego staraniom doszedł roku 1551 do skutku synod prowincjonalny w Piotrkowie, od którego datuje się religijne odrodzenie Kościoła katolickiego w Polsce.

Od samego początku powierzono Hozjuszowi kierunek duchowny na tem zebraniu. Na prośby biskupów opracował w przeciągu czterech dni „Professio fidei catholicae“, która definjowała ściśle naukę katolicką i uzasadniała ją na podstawie Pisma św., tradycji i rozumu. Professio doznała jednomyślnego uznania ze strony biskupów, wszyscy zaprzysięgli ją niezwłocznie i postanowili ją opublikować. Hozjusz chciał ją przedtem przerobić, pogłębić i dopełnić. Gdy jednak arcybiskup gnieźnieński doma-

gał się jak najśpieszniejszego jej ogłoszenia, Hozjusz wydał na razie część swej pracy w roku 1553 w Krakowie. Dzieło to w krótkim czasie rozpowszechniło się w całym świecie katolickim, witane wszędzie z zapałem przez wiernych synów Kościoła. Tymczasem Hozjusz wręczył koniec swej pracy arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, który całe dzieło w roku 1557 wydrukować kazał w Moguncji. Dzieło to jeszcze za życia autora doczekało się blisko 30 wydań, sporządzonych w najlepszych drukarniach wszystkich prawie krajów europejskich. Niezależnie od tego pojawiło się mnóstwo tłomaczeń w najrozmaitszych językach, pomiędzy innymi w ormiańskim i arabskim. Doniosłość tego dzieła, noszącego tytuł „Confessio fidei catholicae christiane“ jest olbrzymia. Było ono jednem z najwybitniejszych zjawisk w wieku XVI. Na niem opiera się przeważnie „Catechismus Romanus“ i katechizm błogosławionego Kanizjusza. Autora nazywano drugim Augustynem, filarem kościoła i t. p.

Mniej więcej w tym samym czasie pojawiły się dwie inne prace Hozjusza. Do wydanej 1558 roku w Kolonji „Confutatio Brentii“, Kanizjusz napisał przedmowę. Dzieło to dedykowane jest królowi polskiemu z tego powodu, że stanowi odpowiedź na „Confessio Wuertembergica“ reformatora Jana Brenza, której drugie wydanie wydawca Paweł Vergerius poświęcił Zygmuntowi Augustowi. We formie djalogu zjawiła się również w roku 1558 rozprawa o kielichu dla osób świeckich, małżeństwie księży i języku krajowym w liturgji. Oprócz tego wydał Hozjusz cały szereg innych prac, które wszystkie cieszyły się niezwykłem uznaniem. W ten sposób Hozjusz był nauczycielem całego ówczesnego świata chrześcijańskiego i imię jego zasłynęło daleko po za granicami jego djecezji, czczone przez katolików, a wspominane z trwogą przez wyznawców nowej nauki.

W obec tego dziwić się nie można, że w r. 1557 papież Paweł IV powołuje Hozjusza do Rzymu, aby go wspierał w zarządzie Kościoła swą radą i zdolnościami. Tęm samem zaufaniem obdarzał go Pius IV, który powierzył mu nadzwyczaj trudną misję zjednania cesarza Ferdynanda I, jak i innych monarchów katolickich dla otwarcia zawieszonych obrad soboru trydenckiego. Jako nagrodę za szczęśliwe rozwiązanie tego zadania, Hozjusz otrzymał w r. 1561 kapelusz kardynalski. W tym samym roku papież mianował Hozjusza jednym z pięciu legatów, którzy go zastępować mieli na soborze i kierować w jego imieniu obradami zebrania. Na wysokiem tem stanowisku zajaśniały w pełnym blasku cała duchowa wielkość i potężna osobistość warmijskiego biskupa, jego zręczność dyplomatyczna, niezrównany dar wymowny, wiedza teologiczna, miłość do Kościoła, jego cięta polemika jak i zmysł praktyczny doświadczonego biskupa i duszpasterza. — Imponował on kardynałom do tego stopnia, że później po śmierci Piusa IV myślano o nim poważnie, jako kandydacie na Stolicę św. Piotra. W rzeczy też samej otrzymał on przy oborze dość znaczną liczbę głosów. Przedewszystkiem popierał go kardynał Simonetto.

Po zamknięciu soboru Hozjusz powrócił do Polski, gdzie po wielu trudnościach udało mu się skłonić króla i sejm do przyjęcia uchwał trydenckich. Zasługi te nagrodził Papież, mianując Hozjusza swym legatem „a latere“ w Rzeczypospolitej.

Z rokiem 1569 rozpoczyna się ostatni okres czynnego żywota Hozjusza. W tym roku król polski wysyła go jako stałego swego posła do Rzymu. Tam Kardynał przez lat jeszcze dziesięć pracował gorliwie jako wierny doradzca Piusa V i Grzegorza XIII czczony przez wszystkich, miłowany przez ubogich, którym poświęcał wszystkie swe dochody, odmawiając sobie potrzeb nawet najniezbędniejszych. Dnia 5 sierpnia 1579 roku przeniósł się do lepszego życia. Grzegórz XIII dowiedziawszy się o jego śmierci, oświadczył: „Straciliśmy mocny filar Kościoła Bożego, ozdobę św. Kolegjum, blask naszego dworu“.

Zwłoki Hozjusza spoczęły dnia 9 sierpnia 1579 roku w kościele jego tytularnym Santa Maria w Trastevere. Jego synowiec Stanisław i jego sekretarz i późniejszy wydawca jego dzieł Stanisław Reszka, wznieśli mu prosty, skromny grobowiec, którego jedyną ozdobę stanowi popiersie kardynała.

SĘP

OPOWIADANIE przez MIKOŁAJA MASASI.

Przekład z włoskiego. (Ciąg dalszy)

Baron Antriani, nie przestając się śmiać zaczął:

— Więc ty chcesz, żeby ta biedna mała, z której zrobię istotę wybraną sercem i umysłem, tak jak natura zrobiła z niej istotę wyjątkową przez piękność i majątek, ty chcesz, żebym ją dał twojemu synowi, który będzie złego prowadzenia, arogantem, głupim i próżnym. Nie mów mi o tem wszystkiem, jeżeli chcesz, żebym cię przyjmował u siebie w dalszym ciągu.

Baron nadużywał trochę nadzwyczajnej uprzejmości swego przyszłego spadkobiercy; spadkobierca zaś wziął to wszystko za żarty, aby pokryć wściekłość wewnętrzną.

— No, no, nie gniewaj się — rzekł. — Dziś rano Lucjan wiedząc, że jadę do ciebie, powtarzał mi słodkim swoim głosem...

Lecz ponieważ baron podniósł się, aby dać jakiś rozkaz służącemu, rozmowa się urwała: tylko Leonard Perfetti, nazajutrz, powracając do Cosenza, myślał w duszy:

— Miljon posagu!... Kochany kuzynku, nie tęgo wyglądasz i mam nadzieję, że nie długo opuścisz ten

świat. A nawet, gdybym ja nie doczekał tego dnia szczęśliwego, mój Lucjan potrafi przyswoić sobie białą gołąbkę i jej pieniądze!... Zobaczysz, że potrafię pamiętać w swoim czasie o tej zniewadze, jakąś mi wyrządził!

IV.

Ta dziewczynka jasnowłosa i biała zdobyła serca wszystkich mieszkańców gór, którzy żyli w zależności od zamku; znała ich nazwiska i przekręcała tak przyjemnie, że ci twardzi ludzie miękli na sam dźwięk jej srebrnego głosu, przyzwyczajała się traktować ich raczej jak przyjaciół niż służących, ku wielkiemu niezadowoleniu swej mamki, podniesionej obecnie do rangi ochmistrzyni, która wolałaby widzieć Blankę więcej przejętą swojem wysokiem stanowiskiem.

Pewnego dnia dziewczynka, pod opieką ochmistrzyni i Jana, starego sługi w rodzinie, poszła zjeść podwieczorek nad brzegiem strumienia pod lasem.

Siedząc na wybrzeżu bawiła się rzucaniem dzikich kwiatów, patrzeniem jak płynęły, potem znikały uniesione prądem, gdy naraz uwagę jej zwrócił ptaszek krążący dokoła gniazdka na samym wierzchołku sosny.

Wyciągnęła małe rączki i zaczęła wołać:

— Ja chcę tego gniazdka! Ja chcę!

— To jest niemożebne — oświadczył Jan — nie mogę przecie tam wejść!...

— Ja go chcę! Ja go chcę!

— Nie bądź niegrzeczna — strofowała ochmistrzyni — bo powiem wujowi.

— Ja chcę! Chcę koniecznie!

W tej chwili chłopczyk wyszedł z krzaków: ciemną miał twarz, czarne oczy; zdawał się mieć lat dziesięć, wysoki był, smukły, nad wyraz kształtny. Ubranie miał podarte i pognieciony kapelusz na głowie. Wdrapał się na drzewo ze zręcznością wiewiórki; dosięgnąwszy wierzchołka uchwycił gniazdko, zsunął się wzdłuż pnia, jednym skokiem był przy Blance, która klaskała w rączki radośnie i rzekł do niej:

— Nie płacz, masz twoje gniazdko. Jak będziesz chciała ptaszków, każ mnie zawołać... Na imię jest mi Sęp... Umiem wchodzić na wyższe jeszcze drzewa niż ta sosna...

Dziewczynka uradowana podała chłopcu ciastka ze swego podwieczorku.

— Trzeba przyznać — odezwała się ochmistrzyni — że nie widziałam nigdy chłopczyka ładniejszego i zręczniejszego, niż ten; szkoda, że ubrany prawie nieprzyzwoicie... Jak się nazywasz?

— Mama nazywa mnie swoim synkiem, a inni Sępem, ponieważ poluję na ptaki.

— Lecz musisz mieć inne imię?

— Tak, mama mówi czasem: Gabryel.

— A co robi twoja mama? Gdzie ona mieszka?...

— Mama służy u dzierżawcy Tomasza, a sypiamy tam, w tej stodole — rzekł wskazując dolinę.

— Ah! tak — zawołał Jan stary. — Zdaje się, że spotykałem tego chłopca w towarzystwie ubogiej kobiety. A twój ojciec?

— Umarł...

— Nie boisz się sam chodzić do lasu? — zapytał sługa, przejęty nagłą sympatją dla tego chłopczyka, który zbliżył się do Blanki i przykrywał młode ptaszki trawą.

— Czy się nie boję?... Ja nie wiem co to znaczy...

— Ten mały będzie rozbójnikiem, albo okrótnym strażnikiem leśnym — mruknął stary Jan, który znał się na tem.

Lecz wieczór nadchodził, ochmistrzyni wzięła za rączkę dziewczynkę i poszła ku zamkowi; mała zajęta ptaszkami nie zwracała już uwagi na Sępa, który stał na miejscu zatopiony w myślach, wiodąc oczami o fosforycznym blasku za oddalającą się dziewczynką, a jego mała męska twarzyczka zdradzała gniew za takie niewdzięczne opuszczenie.

Nazajutrz ochmistrzyni siedziała na ławce przy bramie wjazdowej, podczas gdy Blanka uganiała się za stadem gęsi; naraz, na ścieżce wychodzącej z lasu ujrzano chłopca z gołą głową, trzymającego w rękach coś schowanego w kapeluszu.

Strażnicy chcieli go odpędzić i wołali:

— Uciekaj, mały hultaju! Przyszedłeś może kurę ukraść!

Chłopiec stanął, zmieszany, onieśmielony i miał już zawracać, gdy stary Jan poznał go i przywołał:

— A to ty, Sęp? Czego chcesz?

— Znalazłem śliczne gniazdko wróbli i przyszedłem ofiarować je panience...

— Ja chcę ptaszków, ja chcę ptaszków! — wołała Blanka przestając gonić gęsi.

— Wstałem przededniem, żeby je wynaleźć; zobacz, panienko, jakie ładne, — mówił chłopczyk.

Baron, który powracał ze spaceru, zbliżył się do dwojga dzieci.

— Co to za dzieciak? — zapytał Jana.

Gdy Jan go objaśnił, baron zaczął wypytywać chłopca.

Sęp, pomimo swej dzikości, okazywał żywą inteligencję i duszę hardą.

Baron chciał mu kazać dać kawałek chleba i kiełbasy.

— Nie po to przyszedłem; mama dała mi na śniadanie kasztanów.

— Patrzcie go, jaki dumny! — odezwał się jeden ze strażników.

— A więc — podjął baron zdziwiony takiem poczuciem godności u tego chłopca—więc będziesz może później głodny; pójdziesz do kuchni i dadzą ci tam dobrej zupy.

— Nie będę jadł zupy, jeżeli pan nie pozwoli mi bawić się z panienką...

— Co za szczególny chłopczyna! — mruknął baron idąc do domu.

V.

Od tego dnia, dzieci te, przedstawiające dwa przeciwne bieguny stanowiska towarzyskiego, stały się przyjaciółmi, zbliżone wiekiem, w którym nieznane są podobne różnice.

Dziewczynka była uszczęśliwiona ze znalezienia towarzysza zabawy, który spełniał wszelkie jej zachcenia, wszelkie wymagania, a Sęp, dziki i niesforny ze wszystkimi, słuchał jej ze ślepem poddaniem.

Budował jej wodotryski, pałace, chatki, które ona przewracała zaraz swoją małą nóżką, żądając nieustannie nowych zabawek.

Bardzo prędko Sęp stał się domowym w zamku, wchodził i wychodził swobodnie, oddając wszelkiego rodzaju małe usługi.

Nie był to już chłopiec brudny i obdarty; baron, który go bardzo lubił, kazał mu zrobić piękną, wełnianą kurtkę z czerwoną kamizelką i spodnie spięte u kolan na srebrne guziki; dano mu także mały kapelusz okrągły, słowem, kompletne ubranie górala kalabryjskiego.

I zrobił się silny i wybujały jak młoda sosna, a śmiały jak lew, podczas gdy anielska twarzyczka Blanki nabierała piękności Madonny.

Życie płynęło spokojnie i słodko w tym dzikim lesie, którego dziewczynka zdawała się być boginką białą i jasnowłosą, a którą drwale napotykali o pierwszym brzasku i ostatnich dnia mrokach.

Chłopiec zatrzymał swoje przezwisko — Sęp — i okazywał wielkie upodobanie do broni i polowania; gdy nie bawił się ze swoją młodą panią, kręcił się około starych strażników, przypatrywał się karabinom i pistoletom, szczęśliwy, że mógł ich dotknąć.

Stary Jan sprzyjał tej namiętności; prowadził często chłopca do lasu, gdzie kazał mu strzelać do ptaków; dzieciak zdawał się stworzony na to, aby stać się jednym z tych strzelców w Sila, którzy kulą z fuzji zabijają dzikiego gołębia w locie i o dwieście metrów trafiają kunę w oko, ażeby nie uszkodzić jej skóry.

Baron nie wiedział o skłonnościach swego protegowanego; czasami spotykał go zapatrzonego z uwielbieniem w świetną broń, rozwieszoną na ścianie w zbrojowni.

— Skoro będziesz dość silny, aby utrzymać fuzję, dostaniesz odemnie jedną z tych — rzekł pewnego razu.

— Ależ, ja jestem silny...

— O jeszcze nie.

Sęp, zostawszy sam, mruczał z wściekłością:

— Ah, nie jestem silny? Pokażę wam niedługo moją siłę...

Od tej chwili wydalał się często, a nikt nie wiedział dokąd chodził: wieczorem powracał zmęczony, zabłocony i siedział w kącie przy kominie, nieruchomy, milczący, z oczyma utkwionymi w Blankę która bawiła się przerzucaniem kartek alfabetu ilustrowanego, otrzymanego od barona, ażeby się czytać nauczyła.

Pewnego dnia, około południa, podczas gdy strażnicy siedzieli przy stole w kuchni obok sali jadalnej, gdzie baron jadł obiad ze swoją pupilką, chłopiec ukazał się, mając przewieszoną przez ramię na pasie skórzanym starą fuzję skałkówkę z zardzewiałą lufą.

Czerwony był cały ze wzruszenia i gotów do stawienia czoła burzy.

— Skąd wziąłeś ten karabin? — pytali strażnicy zdziwieni.

— Pan baron nie powie już, że nie jestem silny — rzekł chłopiec dumnie i pogardliwie. — Znalazłem tę broń na strychu pomiędzy staremi pakami i połamanymi sprzętami. Wyczyściłem ją jak mogłem i kulami i prochem zapomnianymi w starej ładownicy, wprawiałem się codzień w strzelanie, a dziś rano zabiłem dzika.

— Opowiadasz niestworzone historje! — zawołali wszyscy ze śmiechem.

— Chodźcie zobaczyć; czatowałem na przesmyku Fougére i trafiłem dzika kulą w głowę. Upadł nogami do góry. Przyciągnąłem go tu za ogon, gdyż wiem dobrze, że nie chcielibyście mi uwierzyć. Dzik był ciężki, lecz ja jestem silny... On jest tam przed bramą.

Strażnicy podnieśli się niedowierzający; lecz w podwórzu leżał wielki dzik, którego kły były pozakrzywiane z powodu lat przeżytych; wszyscy oniemieli ze zdziwienia.

W jaki sposób ten chłopak dał radę przynieść to wielkie zwierzę? Jak zdobył się na odwagę atakowania takiej strasznej bestji?

Gdy się to działo, przyszedł baron zwabiony hałasem, a Sęp stał w kącie w skromnej postawie zwycięscy. Tylko słysząc wyrazy zdziwienia swego pana, pozwolił sobie podnieść wzrok na niego i powiedzieć:

— Czy sądzisz teraz, panie mój, że jestem dość silny, aby mi dać broń jak jednemu z pańskich strażników? Odwagi mi nie brakuje i czuję się zdolnym, z nożem czy karabinem, dotrzymać placu każdemu.

I rzucił wzrokiem wyzywającym dokoła siebie; błyskawica zapaliła się w jego oczach na widok, że słowa jego zostały przyjęte głośnym wybuchem śmiechu. Jeden tylko stary Jan zachował powagę.

— Ja wierzę, że on jest do tego zdolny — mruknął do siebie. — Powiedziałem już że w tem dziecku jest materjał na coś bardzo dobrego, albo bardzo złego...

Strażnicy chcieli wziąść dzika i zanieść do kuchni, lecz młody strzelec oparł się temu:

— Ja chcę, ażeby panienka widziała! — zawołał głosem rozkazującym.

— Ależ widziałam go, widziałam, podobny zupełnie do obrazka w moim alfabecie! Brawo Sęp! brawo! — mówiła Blanka klaszcząc radośnie rączkami.

Chłopiec zadrżał na dźwięk tego srebrnego głosu i bardzo blady, trząsł się cały.

— Duma i odwaga — mruknął baron, którego uwagi nie uszła ta scena. — Dwie zalety, które dobrze kierowane, robią ludzi wyższych, jeżeli panuje nad niemi kultura i wykształcenie.

Następnie zwracając się do Sępa:

— Powinienem gniewać się na ciebie, żeś wziął karabin bez mojego pozwolenia. Jednak przebaczam, a ponieważ ten dzik wart dziesięć piastrów, co chcesz w zamian?

— Chcę dobrej fuzji i alfabetu.

— Na co?

— Umiem już sylabizować, lecz chcę czytać, tak jak panienka; sam się nauczę.

— Czego ci więcej potrzeba? — zapytał baron coraz więcej zdziwiony.

— Chcę kłów dzika, ażeby dać je panience; mama zapewniała mnie, że to chroni od złych oczu.

(C. d. n.)

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Dr. Antoni Beaupré. Druk W. Korneckiego w Krakowie.